

Barbarzyńca w ogrodzie Metternicha



Mykoła Riabczuk, *Ogród Metternicha*, Kolegium Europy Wschodniej, Wrocław 2010

Po raz kolejny Mykoła Riabczuk przygotował dla nas wyśmienitą ucztę. Po raz kolejny, bo wcześniej mieliśmy okazję biesiadować z *Dwiema Ukrainami* oraz *Od Małorosji do Ukrainy* – jedynymi książkowymi pozycjami tego autora wydanymi nad Wisłą. Tym razem ukraiński „dziennikarz” i „publiczny intelektualista” – jak sam o sobie pisze – a także publicysta, wciąż poeta i krytyk literacki, zabiera nas na intelektualne biesiady gdzieś do Europy, zarówno tej „białej” – Zachodniej, jak i tej „czarnej” – Wschodniej. Mamy

ku temu okazję za sprawą zbioru esejów *Ogród Metternicha*.

Tytuł książki to mityczny, tysiącletni ogród europejski, który Riabczuk przemierzał w czasie i przestrzeni przez ostatnie kilkanaście lat. Eseje są różnorodne w formie – od reportaży i wspomnień do rozważań kulturologicznych i filozoficznych. Większość tekstów była już publikowana w Polsce i warto podkreślić świetne tłumaczenia, między innymi Bohdana Zadury, Oli Hnatiuk i Katarzyny Kotyńskiej.

„Książka dotyczy właśnie naszej przynależności i nieprzynależności do Europy, obecności i nieobecności, włączenia i wykluczenia – formalnego, instytucjonalnego i symbolicznego, czyli intelektualnego; różnych sposobów bycia Europejczykami i różnych prób pokonywania »płotu Metternicha«” – pisze we wstępie Riabczuk. Austriacki kanclerz Klemens Metternich, wpływowy dyplomata Imperium Austro-Węgierskiego, stwierdził pół żartem, że na wschód od jego ogrodu zaczyna się Azja. Autor esejów wielokrotnie czuje się na zachód od ogrodu jak „barbarzyńca” wdzierający się przez płot z terenów zachwaszczonych Leninem, Stalinem i całą sowiecką spuścizną – słowem, z Metternichowej Azji. I nie zawsze udaje mu się przedostać do ogrodu, dawniej rozpościerającego się za żelazną, dziś za „miękką” szengeńską kurtyną. Ukraiński „barbarzyńca” napotyka rozliczne bariery, takie jak te stawiane przez belgijskich czy niemieckich urzędników konsularnych, odmawiających wydania mu wizy, mimo zaproszeń światowych instytucji literackich czy think tanków. Cóż się dziwić, konstatuje Riabczuk, skoro pochodzi

się z „niedo-Europy” czy też „pół-Europy”, która dostarcza na Zachód wyłącznie ga-starbeiterów, przestępców i prostytutki, i jest jedynie ustrojem politycznym, a nie przestrzenią cywilizacyjno-kulturowo-geograficzną.

W esejach Riabczuka, pełnych dystansu do świata zachodniego i własnego kraju, sporo jest o mitycznym Zachodzie, w tle często pojawia się Rosja (w kontekście geopolitycznym czy kulturowego wpływu na Ukrainę, choćby poprzez mass media). Riabczuk rozprawia się też z mitem Ameryki, nazywając Stany Zjednoczone „imperium mniejszego (może nawet najmniejszego) zła”. Czytelnik dowiadyuje się na przykład (albo już wie), dlaczego „mit” amerykański przetrwał, a radziecki został pogrzebany. Ot, mała różnica: Amerykanie dostosowali państwo i ideologię do człowieka, Sowietci postąpili odwrotnie i im nie wyszło. Jednak i mit amerykański upadnie – przekonuje Riabczuk – nie wiadomo tylko kiedy. Póki co, przetrwał światowy kryzys finansowy.

Eseje mają dużą wartość biograficzną. Riabczuk pisze o dzieciństwie spędzonym we Lwowie u boku ciotek rozmawiających po polsku i bliskich odbierających polską telewizję za pomocą specjalnie skonstruowanych anten. Uczy się języków słowackiego i czeskiego, czyta zakazane w ZSRR polskie przekłady światowej literatury. I zostaje Czechosłowakiem, gdy chłopięciem będąc, przyswaja, chcąc nie chcąc, hasła „radzieckiego zagrożenia” czy „kontrrewolucji”. Był rok 1968, a już rok później młody Riabczuk z całą rodziną cieszył się, gdy Czechosłowacja została mistrzem świata w hokeju, pokonując ZSRR.

Czechosłowacja była też pierwszym krajem spoza ZSRR, który odwiedził autor. Gdy *pierestrojka* dotarła do Pragi, gdy w aksami-tnych rewolucjach wolność odzyskiwały Polska, Węgry, Czechosłowacja – Riabczuk był Polakiem, Węgrem i Czechosłowakiem, tak jak wielu Polaków zostało Ukraińcami późną jesienią 2004 roku.

Polska, a także Polacy, którzy wstępując do NATO i Unii Europejskiej, przedostali się do „ogrodu Metternicha”, to często przewijające się wątki w esejach „dziennikarza” Mykoły Riabczuka. Różnica między „polskim” a „Polakami” jest spora, bo – jak pisze autor – na Ukrainie (głównie zachodniej) polskie (produkty, muzyka, literatura) konotują dobrze, natomiast Polacy – chcący odebrać Ukrainie Lwów, z czego popiwa autor – nabierają pejoratywnego znaczenia. Tylko że ci Polacy, za sprawą niejakiego Jerzego Giedroycia, pozbyli się roszczeniowych ciągót i wzięli się do pracy. Riabczuk zastanawia się, podążając tokiem rozumowania „bohaterów” swoich esejów, dlaczego „leniwi” Polacy na łąkach i piaskach osiągnęli więcej niż „pracowici” Ukraińcy na bogatych czarnoziemach.

W jednym z esejów autor wymienia zalety ukraińskiej poezji czy gruzińskiego kina, dowodząc przynależności „Europy Wschodniej” do europejskiej wspólnoty. Konstatuje jednak: „Ale kogo to interesuje?”. To pytanie kluczowe także dziś (Riabczuk zadał je w 1995 roku), w kontekście nie tylko Ukrainy, ale całego poradzieckiego Wschodu. Kogo to interesuje, że sąsiadujący z Polską ukraiński lud/społeczeństwo/naród nie ma swojej „Kultury” i swojego Giedroycia? Kogo interesuje, że prawie każdy ukraiński

polityk to obrzydły *homo sovieticus*, który nie ma elementarnej koncepcji nie tylko o rządach prawa i demokracji, ale i o moralności, że jest jedynie świńskim ryjem z utworów Małorusa Nikołaja Gogola? Kogo obchodzi, co dzieje się na Ukrainie po tym, jak Wiktor Janukowycz z Partią Regionów skupił władzę w swoich rękach?

Jeszcze jedna ważna sprawa. Dobrze byłoby bliżej poznać nad Wisłą twórczość Hryhorija Czubaja, ukraińskiego poety, „przewodnika” Riabczuka po Europie i europejskości, któremu zbiór jest dedykowany. Może eseje Riabczuka zainspirują do zaistnienia wierszy Czubaja w naszej świadomości, by nazwisko to było kojarzone także z poetą Hryhorijem, a nie tylko z liderem świetnego zespołu rockowego Płacz Jeremiji Tarasem, jego synem.

Tomasz Kułakowski

